

GRUDZIEŃ 2000

UKAZUJE SIĘ OD 101 LAT



ŁOWIEC POLSKI

NR 12 (1855)

Cena 8 zł

Hubertowska
msza święta
w Warszawie

Sytuacja
zwierzyny
drobnej

Co dalej
z lisem?

Sowie zmysły

Kormoran
z pętelką

Syberyjskie
wilki

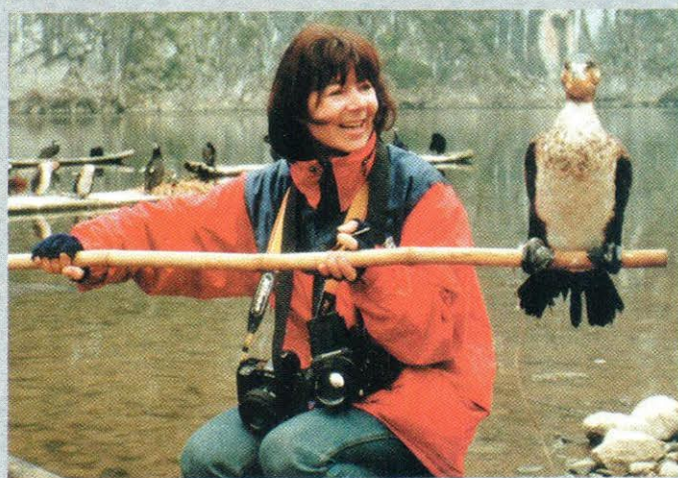


WYPRAWA DO YANGSHAO

...czyli
o kormoranie
z pętelką

Dawno temu myślałam, że wyprawa do Chin to pełna egzotycznych wrażeń podróż do kraju, w którym zatrzymał się czas. Chiny, jako kolebka starożytnej kultury, kojarzyły mi się najbardziej z XIX-wiecznym przekazem Bronisława Grąbczewskiego i innych obywateli z minionej epoki. To oni właśnie uaktywnili moją wyobraźnię w takim stopniu, iż postanowiłam zrealizować swoją podróż marzeń do miejsca, które mnie szczególnie zafascynowało. Było nim samo południe Chin, tam właśnie czas zatrzymał się naprawdę. Celem wyprawy była mała enklawa cywilizacji umiejscowionej wzdłuż Lijiang w prowincji Guangxi. Wiedziałam, że nie będę rozczarowana tym, co pragnę zobaczyć.

Tym wyczekiwany obrazem miały być osławione swym pięknem góry, a wśród nich nad rzeką Li osady rybackie, gdzie człowiek od wieków żyje w symbiozie z ptakami, które nie tylko są jego towarzyszami uprzyjemniającymi codzienność, ale także współpartnerami w zdobywaniu pożywienia. Jeszcze nie bardzo mogłam sobie wyobrazić, jak wygląda ten proces w rzeczywistości, czy jest możliwe, by zmusić lub wytresować dzikiego kormorana tak, aby zechciał łowić ryby na polecenie swego właściciela. Żeby się o tym przekonać, należało wyruszyć w drogę do Yangshao.



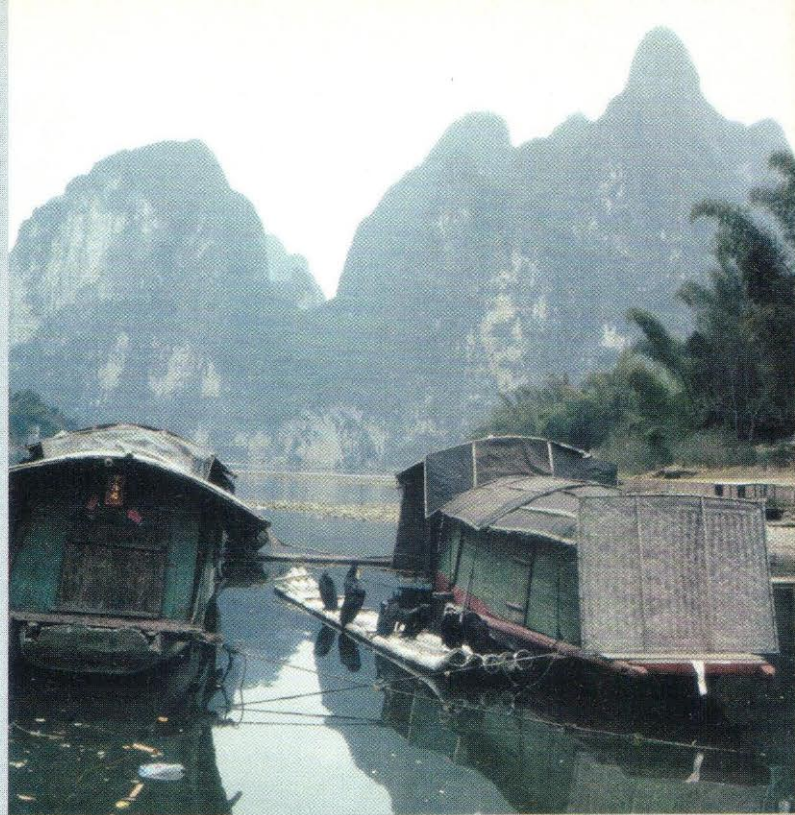
Nie pozna się w pełni Chin, jeżeli zabrakło podróży pociągiem. Droga do Yangshao daleka, ale to nie znaczy, że monotonna. Jeśli myślisz, że usiądziesz w wygodnym i przytulnym „pulmanie”, to..., no właśnie. Podróż jest stadna i po chińsku zorganizowana. Przyglądają ci się Chińczycy, co „błada twarz” tutaj robi, a wypada robić to, co oni. Pobudka, mycie i wielkie żarcie. Tak, jeść to oni lubią. Brutalnie włączono jarzeniowe światło i na cały głos rycząca muzyka z głośnika potrafią postawić na równe nogi nawet największego śpiocha. Krajobrazy za oknami zmieniają się. Szybko czy wolno – to zależy, co uznasz za blisko, a co za daleko. Wkrótce już Sichuan. Zwą go „miską ryżu Chin”, żyzny, górzysty, ze stokami obsianymi ryżem, rzepakiem, bawełną i oczywiście bambusami, których młode pędy stanowią pożywienie dla tłusciutkiego misia pandy. Na razie, cześć pando... Musimy jechać dalej. Mijane wioski oczarowują swoją urodą.

Yangshao, w którym zakładamy bazę, jest niewielkim miasteczkiem położonym na wypiętrzeniu ponad rzeką Li. Otaaczające je góry wprost „wchodzą” między uliczki. A uliczki tu barwne, ciekawe, bo zachowały tu i ówdzie swój stary charakter. Jednopiętrowe domki z oryginalnym ażurem drewnianych galerii mieszczą rozliczne restauracyjki i sklepiki z atrakcyjnymi pamiątkami. Gdzieniegdzie, wśród mnóstwa bibelotów można dostrzec prawdziwą perłę, na przykład drobiazg z dynastii Ming lub obraz namalowany ręką prawdziwego artysty, których nie brak w Yangshao. I nic dziwnego, tutaj krajobraz sprzyja wszelkiej twórczości, to tu właśnie powstają dzieła najbardziej typowe dla chińskiej sztuki. Charakterystyczny motyw gór, rzeka, łódeczki, rybacy w kapeluszach, a wszystko zatopione w niesamowitej, świetlistej mgle, nadają obrazom wyjątkową przestrzenność. Tysiąc lat wcześniej jeden z chińskich poetów pisał na temat okolicy: *rzeka tworzy formę podobną do kręgu, a góry wokół niej jak niebieskie garby...* Zjawiskowo piękne góry wprawiają w zachwyt nawet najwybredniejszego turystę. Na przestrzeni prawie 100 kilometrów widać nieprawdopodobne szczyty wyrastające wprost z nizin. Do rzeki schodzą bambusowe gaje i malownicze wioski. Każde wzgórze, jak to w zwyczaju chińskim, ma poetycko brzmiącą nazwę: „Pięć tygrysów pożerających owcę”, „Wspinający się żółw”, „Góra-pędzelek”, „Góra dziewiciu koni” czy „Góra drapiąca niebo”.

Natura stworzyła ten cudowny wprost krajobraz ok. 300 mln lat temu, kiedy tereny te stanowiły jeszcze dno morza. Po cofnięciu się wód pozostały góry zbudowane z piaskowca, które w wyniku trwającej erozji przekształciły się w nieprawdopodobne formacje skalne.

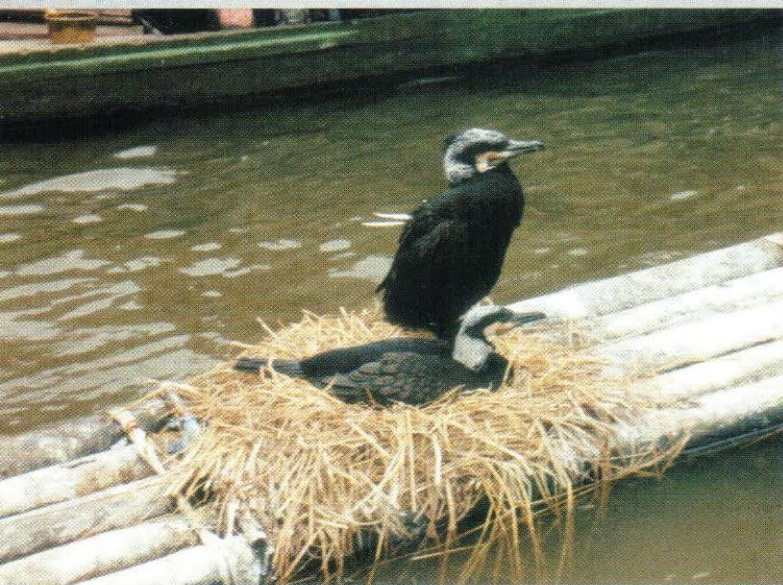
U podnóża tych krasowych gór życie toczy się leniwie utartym trybem. Żyją sobie ludzie, a z nimi kormorany w symbiozie trwającej od tysięcy lat. Z ciekawością przyglądałam się przepływającym stateczkom i łodziom, które są ich całorocznym mieszkaniem. Wnętrza tych swoistych domów na wodzie, zazwyczaj bardzo przytulne i czyste, bez większego problemu mieszczą nawet liczne rodziny. Każdy czymś zajęty. Kobiety piorą, gotują, czyszczą sieci, dzieci bawią się ze zwierzętami, a mężczyźni przygotowują się do niecodziennego rytuału. Polega on na łowieniu ryb przy pomocy kormoranów. Aby poznać ten niezwykle obyczaj, należy pojechać jednak dalej, poza Yangshao, do paru wiosek, gdzie przetrwała tradycja.

Najbardziej polubiłam rybaków z Xingping i Fuli. Spędzone z nimi chwile nauczyły mnie wiele, nie tylko w kwestii obcowania z kormoranami, ale przede wszystkim nadały sens temu, co łączy ludzi bez względu na ich rasę, kulturę czy umiejętności. Bez przyjaznej pomocy z ich strony, nasza praca zakończyłaby się pewnie jedynie trywialnymi obserwacjami przeciętnego turysty. Dzięki cennym wskazówkom naszych rybaków dane nam było uczestniczyć w połowach i zaprzyjaźnić się z ptakami. Same kormorany wzbudziły moją sympatię od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam je przycup-



nięte na swych tratwach, drzemiące jeszcze we mgle marcowego poranka. Z głową wtuloną między czarne skrzydła wyglądały całkiem niepozornie. Dopiero pierwsze promienie wiosennego słońca sprawiły, że zaczęły powoli budzić się ze snu. Śmiesznie przyglądały się nowym przybyszom, najpierw jednym, potem drugim turkusowym okiem. Jeden po drugim rozprostowywały skrzydła, do porannej toalety. Teraz dopiero dostrzegłam całą ich urodę, kiedy w pełnej krasie pokazyują, co potrafią.

Samice od samców niewiele się różnią. Są prawie jednako ubarwione, dorosłe zaś osobniki nabierają dodatkowego koloru piór. Głowy niektórych samców pokrywa zabawnie zaczesana do tyłu „szpakowatość”. Jeszcze nieufne, próbowały dosięgnąć nas swymi haczykowato zakończonymi, ostrymi dziobami. Ta pora roku na Lijiang jest najważniejsza, teraz składane są bowiem jaja przez kormoranice. Odbyna się to w misternie uwitym gnieździe na tratwie zbudowanej z kilku zdrewniałych łodyg bambusa. Kiedy już cenne nad wyraz jajo pojawi się, jest natychmiast zabierane przez właściciela ptaka na ląd i podkładane kurze. Kura wysiaduje je do czasu, gdy zbliży się termin wylęgu, wówczas wędruje ono znów do swe-



go macierzystego gniazda. Zabieg ten jest konieczny ze względu na bardzo małą stabilność łodzi, w obawie przed wypadnięciem i ewentualną utratą tak wyczekanego potomstwa. Kiedy mały kormoranek pojawia się na świecie, pierwszym jego doświadczeniem jest widok już prawdziwej mamy – kormoranicy i zastępczego ojca – rybaka. Tak więc pisklę przyzwyczaja się do widoku obojga i od tej pory tratwa stanowi jego dom rodzinny, do którego zawsze wraca. To swoiste przywiązanie kormorana do łodzi jest nieodzowne później przy wykonywanej przez niego pracy. Pracy, która trwa przez całe jego przyszłe życie. Dorosłość oznacza dla ptaka pańszczyznę w postaci połowów dla właściciela. Za tę pracę otrzymuje mały procent, czyli kilka ryb dziennie.

Całe to misterium łowienia obserwowałam z mieszanymi uczuciami. Najbardziej podejrzanie wyglądało zakładanie pętli z trzciny na szyję ptaka. Było mi go ogromnie żal. Wydawało mi się, że za moment udusi się, a już na pewno tak skępowany, nie będzie łowił żadnych ryb. Otóż błąd! Kormoran, bez specjalnych protestów godzi się na ten zabieg służący uniemożliwieniu połknięcia ryby. To jest pierwsza czynność, jaką musi wykonać rybak. Następnie wypływamy na środek rzeki, gdzie gromadzi się najwięcej ławic. Kormorany instynktownie wyczuwają obecność ryb i nurkują do wody najczęściej niezachęcane przez właściciela. Zdarza się jednak, że ptaki nie wykazują specjalnej ochoty do pracy, buntują się patrząc z wyrzutem na rybaka, kiedy ten usiłuje sprowokować je do skoku. Wydawało mi się, że woda wówczas przestaje być ich naturalnym środowiskiem, a mokra toń wyłącznie napawą obrzydzenia. Najczęściej jednak połowy są udane. Zarobionymi zdobyczami kormorany wprawdzie niechętnie się dzielą z pracodawcą, ale ostatecznie pocieszają się kilkoma sztukami mniejszych rybek. Reszta wędruje do kosza przytwierdzonego na tratwie. Malowniczo wyglądają bambusowe łodzie z wielkimi koszami pływające po Lijiang. Czasem służą także do przewozu dzieci jako wygodny środek transportu.

Pierwsze próby połowów z naszym udziałem nie były łatwe. Ptaki nie przyzwyczajone do naszej obecności opierały się przy zakładaniu pętelek, nie mówiąc już o samym połowie, do którego zachęcaliśmy je najbardziej wyrafinowanymi obietnicami lepszego jutra, prośbami i zaklęciami. Prawie zaprzestaliśmy marzeń o pełnych koszach dobrodziejstw rzeki, teraz nawet mała rybka satysfakcjonowała nas w zupełności.

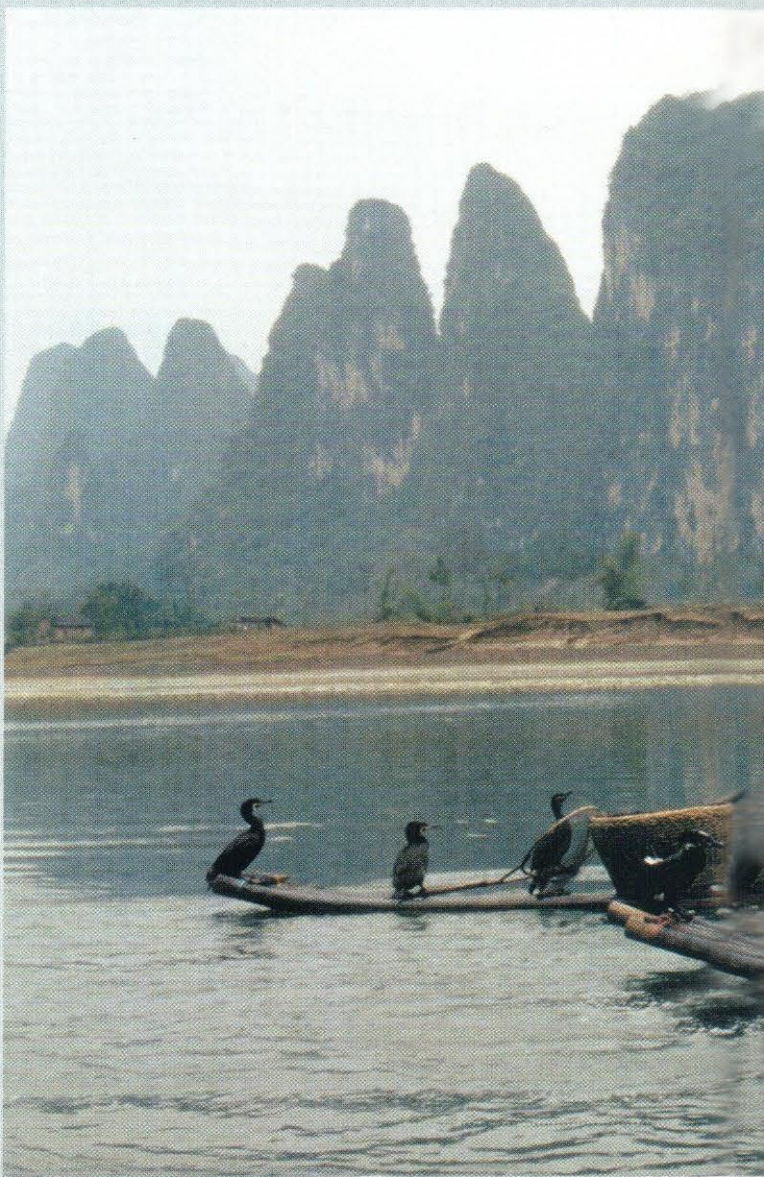
Z każdym dniem jednak było lepiej. Kormorany oswajały się z naszym codziennym widokiem. Pozwalały coraz bliżej do siebie podchodzić, a nawet pogłaskać po piórach. Doszło do takiej zażyłości, w której bez wzajemnych obaw o własne bezpieczeństwo pływaliśmy całymi godzinami po rzece. Wy-

niki wspólnej pracy wkrótce również zaczęliśmy odczuwać przez coraz cięższe kosze, które wynosiliśmy na brzeg.

W przerwach między połowami najchętniej spożywalimy wspólny posiłek z rybakami. Każdy wie, że nawet w najskromniejszych warunkach w Chinach wszędzie można zjeść bardzo smacznie, nawet jeśli jest to tylko makaron z warzywami czy niezmiennie ryż przyrządzony na różne sposoby. Nasze wspólne spotkania przy stole były często zabawne ze względu na śmieszne nieporozumienia językowe i wynikające z nich konsekwencje.

Wczesne wstawanie dawało nam szansę obserwacji rzeki i zwyczajów ptaków już od bladego świtu. Wszystko wokół wyglądało wówczas całkiem inaczej niż w blasku pełnego dnia. Cisza, spokój, monotonne uśpienie nadają dodatkowej tajemniczości miejscu. Nawet kolorystyka gór i rzeki są wówczas odmienne.

Sadowimy się na tratwach w oczekiwaniu nowych wrażeń nadchodzącego dnia. Oprócz naszego przyjaciela mamy do towarzystwa jeszcze innych rybaków. Przytwierdzają kosze na naszych prymitywnych łodziach, zakładają nieodzowne kapełuszki na głowy. Teraz wyciągają swoje ulubione, lokalne papierozy i pałac potrafią trwać w bezruchu i zadumie przez długi czas, aż nadarzy się odpowiedni moment, kiedy pojawi się większa ławica ryb. Wtedy to zaczyna się ruch! Pierwszą oznaką są niespokojne kormorany. Wiercą się, skrzeczą, wypatrują pospół z nami przyszłego posiłku. Będzie on pierwszy od wczorajszego dnia. Na dane hasło ptaki jeden po drugim rzucają się do wody. Czasem trzeba im trochę pomóc, kiedy zbyt ciężko się ociają. W tym celu rybacy używają długich kijów. Tylko z pozoru wygląda to okrutnie, w gruncie rzeczy postępują z ptakami delikatnie na tyle, na ile to możliwe. W końcu to one przynoszą dochód i dostarczają codziennej rozrywki.



Pierwsze kormorany wracają już ze zdobyczą. Następuje operacja odbierania im tego, co upolowały. Nie zawsze jest to takie proste i oczywiste. Czasem trzeba się nieźle naszarpać, aby w koszu wylądowała nienaruszona ryba. Nie muszę dodawać, ile wysiłku i zdrowia kosztowała mnie taka próba sił z kormoranem. Na szczęście potem chwila odpoczynku, nie mówiąc już o niebywałej satysfakcji. Wszyscy razem cieszymy się ze wspólnego wyczynu. Rybacy poklepują nas przyjacielsko po plecach i chwalą za udany połów.

W przerwie przed kolejnym atakiem pogryzamy kawałki trzciny cukrowej, tutejszy przysmak i choć nie jestem nim zbyt zachwycony, dzielnie żuję do końca. Teraz nasza kolej na wyciągnięcie zapasów z przepaścistych toreb. Dzielimy się równo herbatnikami przywiezionymi jeszcze z Polski i owocami. Na wieczór mamy coś mocniejszego na rozgrzewkę. Ale do zmierzchu jeszcze daleko, a my musimy zrobić kilka kolejnych podejść do kormoranów.

Wieczorem rozgrywa się druga część widowiska. Na tratwach są zapalane latarnie, w świetle których podobnie jak w dzień łowi się ryby tym samym sposobem. Niestety, jedynym mankamentem jest niemożność robienia zdjęć. Światło flesza płoszy kormorany. Warto jednak doświadczyć polowania nocą. Dostarcza ono wówczas zupełnie odrębnych wrażeń.

2 pokolenia na pokolenie jest przekazywana wiedza, jak postępować z ptakami, jak je podchodzić, jak razem pracować i jak je kochać. Tak, istnieje niewątpliwie więź między ludźmi i ptakami pozwalająca im istnieć obok siebie w pełnej zależności. Połowy takie rybacy najczęściej odbywają wraz z zapadnięciem zmroku, zdarza się jednak zobaczyć to widowisko za dnia, kiedy widoczne są góry tworzące wraz z rzeką i kormoranami zjawiskowy, niezapomniany wprost obraz. Ten nierealny świat czasem skłania do refleksji



cji czy sen to, czy jawa, co jest tu naturą, a co wyobraźnią. Mgła, ciężkie chmury, nieustająco siąpiący deszcz, tak charakterystyczne dla strefy subtropikalnej są najczęstszym doświadczeniem w tym rejonie. Mimo to warto przeżyć spotkanie z kormoranami w tym najpiękniejszym chyba zakątku Chin. Jedno jest pewne, samemu trzeba to zobaczyć, aby rozkoszować się tą chwilą.

Słońce powoli chowa się za strzeliste góry. Pora pożegnać się z Yangshao. Do widzenia piękna kraino, do widzenia kormoranie z pętelką.

Elżbieta Sęczykowska

